Rocznik III. Kraków, 1 listopada 1900. Numer 3.

SKARBNICA

miesięczne pismo ludowe
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:
„Skarbnica" kosztuje w **Austryi** na rok: **3** korony (**1** złr. **50** ct.). **półrocznie: 1** kor. **50** hal. (**75** ct.). **W Niemczech** na rok: **3** marki. — **W Ameryce** rocznie: **1** dolar.

Adres: Red. **„Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1900.

Rok III. Kraków, 1 listopada 1900. Numer 3.

SKARBNICA

PISMO LUDOWE

wychodzi **raz** w miesiącu — dnia 1.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **3** korony (**1** złr. **50** ct.), na pół roku **1** korona **50** halerzy (**75** ct.). — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **3** marki. — **W Ameryce:** rocznie **1** dolar. **Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Przypomnienie i wyjaśnienie.

Trzeci rocznik *Skarbnicy* rozpoczął się od września bieżącego roku — więc powinien się skończyć z końcem sierpnia roku przyszłego. Dla uproszczenia jednak rachunków, skończy się ten 3-ci rocznik nie z końcem sierpnia, ale aż z końcem grudnia roku przyszłego.

Ponieważ za rocznik drugi (od stycznia do końca sierpnia tego roku) liczymy już zniżoną prenumeratę tj. **3** korony, więc ci, którzy na początku tego roku złożyli na *Skarbnicę* **5** koron (2 złr. 50 ct.), mają u nas **2** korony nadwyżki, czyli ponieważ za te 4 miesiące: wrzesień, październik, listopad i grudzień z tego roku, należy się nam **1** korona, przeto na rok przyszły (cały) zostaje tylko **1** korona nadwyżki.

Otóż ci Szanowni Czytelnicy, chcąc dalej przez cały rok przyszły otrzymywać *Skarbnicę* i mieć w dodatku **za darmo książkę do nabożeństwa**, mają nadesłać jeszcze **2** korony i **50** halerzy (1 złr. 25 ct.).

Inni zaś, którzy złożyli z początkiem tego roku tylko półroczną prenumeratę, mają zapłacić półroczną prenumeratę za to bieżące półrocze (od 1 lipca do końca grudnia) (**75** centów) i złożyć nową prenumeratę na rok przyszły (**3** korony) — jeżeli naturalnie chcą dalej odbierać *Skarbnicę*, i **50** halerzy na **książkę do nabożeństwa.**

A inni znowu, którzy dopiero od września tego roku zaczęli prenumerować *Skarbnicę*, mają nadesłać jeszcze **1** koronę (z Niemiec **1** markę), ze względu, że nie w sierpniu, ale aż w grudniu roku przyszłego skończy się rocznik trzeci.

Wydawnictwo.

Pomoc dla dusz w Czyścu będących.

I.

Kto swe zasługi ofiaruje za dusze czyścowe, Pan Bóg go stokrotnie nagrodzi.

*„Czyń dobrze sprawiedliwemu, a odniesiesz zapłatę wielką.... *)*

Kto swe zasługi i dobre uczynki ofiaruje za dusze w Czyścu cierpiące, aby je z mąk wybawić i wprowadzić do Nieba, ten bez wątpienia znajdzie wielką nagrodę i chwałę u Boga. Powiedzieć można, że taki chrześcijanin zaludnia niebo; lecz zarazem posyła tam dla siebie rzeczników i przyjaciół, którzy przez wdzięczność będą się starali otrzymać dla niego wszystkie łaski potrzebne w życiu doczesnem i zbawienie w wieczności. Co więcej, Aniołowie Stróżowie tych dusz oswobodzonych wdzięczni mu są za miłość im wyświadczoną. Święci w Niebie mile nań spoglądają, że powiększają ich liczbę do wychwalania Majestatu Bożego. Najświętsza Dziewica Marya okrywa go płaszczem swej opieki, że się przyłożył do korony tych dusz, Krwią Najdroższą Syna jej odkupionych. A jakież błogosławieństwo, jakie łaski i nagrodę otrzyma od samego Chrystusa Pana za tak szlachetne współdziałanie w dziele Odkupienia! Oto krótka historya o tym przedmiocie.

Święty Dyonizy Kartuz opowiada, iż pewna pobożna dziewica, imieniem Gertruda, z miłości ku duszom czyścowym, każdego poranku ofiarowała za nie wszystkie zasługi, jakie mieć mogła ze swych dobrych uczynków, jałmużny, modlitwy, cierpienia i t. d., z żywą wiarą prosząc Chrystusa Zbawiciela, aby rozporządzał tym skarbem według Najświętszej woli swojej.

Nieraz cudownie Pan Jezus pokazywał jej dusze, które najwięcej ratunku potrzebowały, wtenczas święta dziewica podwajała swe pokuty, modlitwy i nie ustawała w tych ćwiczeniach pobożnych, aż się jej zdało, że za nie wypłaciła sprawiedliwości Boskiej. Często dusze te pokazywały się jej w chwili wejścia do Nieba i obsypywały ją swem podziękowaniem i błogosławieństwem.

Tak żyjąc pełna cnót i zasług, przyszła do starości. Na łożu śmierci uderzyła na nią straszna pokusa. Szatan, duch ciemności, wmawiał jej, że dlatego uwolniła tyle dusz z Czyśca, aby sama zajęła ich miejsce, i cierpiała ciężkie męki za grzechy swoje; bo wszystkie zasługi całego życia oddała drugim, obcym i nieznajomym, a sama z próżnemi rękami stanie na sądzie Bożym. Temi myślami strapiona, zaczęła się smucić i jęczeć — O jakżem nieszczęśliwa! — mówiła do siebie — umrę za chwilę i trzeba zdać rachunek ze wszystkich spraw całego życia. Jakże będę usprawiedliwiona, gdy nie mam żadnych zasług.... Na długie męki w ogniu czyścowym skazaną będę! Mój Boże, czy zezwolisz na to?...“

---

*) Ekklez. XII, 2.

Gdy tak boleje nad sobą, ukazuje się jej Pan Jezus, Niebieski Oblubieniec, i pyta, czegoby tak smutną była.

— „Panie — odpowie Gertruda — smucę się bardzo, bo widzę, że oto umieram, a nie mam żadnych dobrych uczynków dla wynagrodzenia sprawiedliwości Twojej za tyle grzechów popełnionych: bo wszystkie zasługi moje oddałam duszom cierpiącym, jak Ty wiesz, o Panie!“ Wtenczas Zbawiciel uśmiechając się z miłością pocieszył ją:

— „Córko moja Gertrudo! — rzecze do niej — ażebyś wiedziała, jak mi jest miłem twoje politowanie nad biednemi duszami, oto ci odpuszczam wszystkie grzechy i kary za nie zasłużone. Nadto jeszcze, iżem przyrzekł oddać sto za jeden tym, którzy mię miłują, nagradzam cię za to, podwyższając stopień chwały, jaki cię czeka w Niebie. Wszystkie dusze, któreś z Czyśca wybawiła, za moim rozkazem wyjdą na twe spotkanie i wśród śpiewów radosnych wprowadzą cię do Raju“.

Tak błogosławiona dziewica Gertruda, upewniona o wiecznem szczęściu swojem, pospieszyła na gody do Niebieskiego Oblubieńca.

II.

Najmniejsza jałmużna za umarłych nie zostanie bez nagrody.

Nie wszyscy mogą dawać wielkie jałmużny, ale przy dobrej woli i małą ofiarą możemy wspomagać dusze cierpiące, a dla siebie zapewnić błogosławieństwo Boskie. Wdowa Ewangeliczna złożyła dwa szelążki do skarbonki kościelnej, a Chrystus Pan pochwalił ją, iż dała co mogła.

Rzewny ten przykład naśladowała pewna uboga niewiasta neapolitańska, która zaledwie mogła wyżywić gromadkę drobnych dziatek. Mąż jej, ubogi wyrobnik, pobożny i poczciwy, przynosił co wieczór nędzną zapłatę swojej ciężkiej pracy. Jednego dnia, niestety! ten biedny ojciec ujęty był i uwięziony za długi, a cały ciężar utrzymania rodziny spadł na nieszczęśliwą matkę, która nie miała innego sposobu do życia, jak tylko pracę rąk swoich i ufność w miłosierdziu Bożem. Dzień i noc w serdecznej modlitwie błagała Boga o ratunek w tej niedoli, a szczególnie o uwolnienie męża, który jęczał w więzieniu nie za jakie występki, ale za ubóstwo, a biedna kobieta nie miała żadnej nadziei opłacenia swych długów.

Powiedziano jej o pewnym zamożnym obywatelu, który używał swej fortuny na wsparcie nieszczęśliwych. Natychmiast uboga niewiasta stara się o napisanie prośby, w której wyraża nędzę swoją i prosi o łaskę litościwego pana. Ale, niestety, otrzymuje tylko drobną jałmużnę — karlina, mały pieniądz neapolitański, wartości złotówki.

Co począć i do kogo się udać? Zasmucona, zbolała nad wszelki wyraz, idzie do kościoła, a rzucając się do stóp Zbawiciela utajonego w Najświętszym Sakramencie, błaga o cud miłosierdzia dla swej nieszczęśliwej rodziny, bo próżna jest w ludziach nadzieja. — W tem, jak błyskawica uderza ją myśl, zapewne od Anioła Stróża,

prosić o przyczynę dusz czyścowych. Słyszała od kogoś o ich cierpieniach i o wielkiej ich wdzięczności dla tych, którzy je wspierają. Pocieszona tem natchnieniem, idzie zaraz do zakrystyi, składa swój pieniążek i prosi o odprawienie Mszy św. za umarłych. Jakiś litościwy kapłan tam będący, rozpoczął świętą Ofiarę, z którą się ona łączyła w gorącej modlitwie, leżąc krzyżem na ziemi.

Powstała z tej modlitwy wielce wzmocniona i pocieszona na duchu, jakby pewną była, że ją Bóg wysłuchał. I oto, gdy wracając do domu, przebiega gwarne ulice miasta, zbliża się do niej jakiś poważny starzec i pyta, czemu się tak smutną wydaje? Ona odpowiada wymownie o swojem utrapieniu.... Nieznajomy słucha ją ze współczuciem, zachęca do ufności w Bogu, i oddalając się, wręcza jej list, prosząc, aby go zaniosła do wskazanej osoby. Biedna kobieta idzie prosto na oznaczone miejsce, a znalazłszy tam młodego człowieka, gospodarza domu, spełnia polecenie. Ten otworzywszy papier, z niezmiernem wzruszeniem, poznaje pismo swego ojca, zmarłego od kilku lat.

— Zkąd masz ten list? Kto ci go dał? — woła w uniesieniu.

— Panie, — rzecze przelękniona niewiasta — jakiś poważny mężczyzna spotkał mię na ulicy, rozmawiał ze mną i kazał mi ten list przynieść do tego domu; nie wiem co w nim napisano, nic mi o tem nie mówił. Zresztą on jest podobny do tego obrazu, co oto wisi na ścianie.

Coraz więcej zdziwiony i wzruszony młodzieniec, czyta głośno list, jak następuje:

— Synu mój, twój ojciec dziś wybawiony jest z Czyśca przez tę ubogą niewiastę, która ci wręczy kartkę; z jej ofiary odprawiła się tego poranku Msza św. za umarłych, a Pan Bóg w miłosierdziu swojem przyjął ją na dopełnienie mego oczyszczenia: winniśmy jej przeto największą wdzięczność. Ta poczciwa kobieta w ciężkim jest niedostatku, polecam ją twojej opiece.

Z rzewnemi łzami czyta i odczytuje te drogie wyrazy, skreślone ręką ukochanego rodzica... wraca potem do ubogiej kobiety, która nie wiedząc o co rzecz idzie, bojaźliwie czekała końca tej sprawy.

— Biedna matko — rzecze do niej — tyś ubogim twym groszem zapewniła wieczne szczęście mojemu ojcu, ja też chcę zapewnić szczęście twoje i twojej rodziny; biorę was wszystkich pod swoją opiekę i przysięgam, że wam na niczem zbywać nie będzie.

I rozpytawszy się jej o wszystkie potrzeby, dał jej pieniędzy na opatrzenie długów, na wykupienie męża z niewoli i całą rodzinę hojną obdarzył jałmużną; potem darował im kawał gruntu ze wszystkiem urządzeniem gospodarskiem, aby na swojej ziemi, w poczciwej pracy, spokojnie i szczęśliwie żyli.

Można sobie wyobrazić uniesienia radości tych biednych ludzi, za przyczyną dusz czyścowych wydobytych z przepaści nędzy i utrapienia! Tysiąckroć błogosławili Boga, że Jego Opatrzność wspiera i ratuje nieszczęśliwych, którzy w Nim całą ufność złożyli.

Ta historya, wskazuje nam, że i najmniejsza ofiara uczyniona na korzyść dusz w czyścu cierpiących, ściąga na nas cuda łaski i miłosierdzia Bożego. (Carfora, Fortuna hominis, ks. I, roz. 9)

Anioł Pański....

Napisał Silef.

Mieliśmy wyruszać na manewry. Ta wiadomość odbiła się w pułku echem najsprzeczniejszych objawów to radości i wojennego animuszu, to znowu smutku i żalu. Cieszono się nadzieją zobaczenia nowych okolic, doznania nowych wrażeń; smucono się tem, że trzeba będzie przez dni kilkanaście znosić trudy i niewygody zdala od przyjemności tego miasta, w którem pułk był rozlokowany.

Ja rad byłem, że przynajmniej na czas jakiś porzucę to wesołe, hulaszcze życie z dnia na dzień; to ustawiczne wałęsanie się bez celu po kawiarniach, piwiarniach i tym podobnych lokalach; te zabawy i bale wojskowe, na których picie szampana i słuchania tłustych dowcipów było szczytem wesołości tego oficerskiego towarzystwa, do którego miałem szczęście czy nieszczęście należeć. Uprzykszyły mi się aż nadto te nocne, hałaśliwe biesiady, ale trudno było trzymać się na uboczu, choćby z tej przyczyny, ażeby w liście kwalifikacyjnej nie dostać noty: „Er fühlt sich in der Gesellschaft der Offiziere unheimlich“ *), a ze strony kolegów nie ściągnąć na siebie zarzutu, że się pogardza ich towarzystwem.

Żyłem więc z kolegami na stopie bardzo poufałej i przejąłem wszystkie nawyczki oficerskie. Paliłem „virginia“, trzymałem dwa rasowe ratlery, czytywałem w kawiarniach „Tagblatt“ i wystawałem z innymi przed wystawami najokazalszych sklepów w mieście.

Na takiem życiu mijały mi dni, tygodnie i miesiące.

Czasami jednak, zwłaszcza, gdy byłem sam w domu, przychodziły mi do głowy poważniejsze myśli. Zadawałem sobie pytanie, do czego mnie takie życie doprowadzi; widziałem całą jego jałowość, a przecież jako członek narodu, do którego należałem, powinienem był w miarę sił moich i zdolności przyczyniać się do jego dobra i sławy. Nie umiałem jednak wybrnąć z tego zaczarowanego koła, w jakie wtrąciło mnie wstąpienie do wojska, i kończyło się zawsze na tem, że wychodziłem na miasto i błądziłem po ulicach zatopiony w myślach tak dalece, że nieraz nie pozdrawiałem ukłonem moich przełożonych. Wynikały z tego dla mnie różne przykrości, ale i te nie wyleczyły mnie z mojej zadumy.

---

*) Nie swojsko mu jakoś w towarzystwie oficerów.

Z prawdziwą tedy radością przyjąłem wiadomość o wyruszeniu naszego pułku na manewry.

Nadszedł czas wyjazdu. Całe masy ludności odprowadziły nas rankiem na dworzec kolejowy. Wśród dźwięków muzyki i gwaru tłumów wsiedliśmy do wagonów. Pociąg ruszył z miejsca a my powiewając chustkami na pożegnanie straciliśmy powoli z oczu przepełniony damami i mężczyznami dworzec, a wkrótce i samo miasto.

Męcząca jazda trwała godzin kilkanaście. Nad samym wieczorem wysiadł nasz pułk w małem miasteczku podkarpackiem, skąd maszerując raźnym krokiem ściągnął już późno w nocy do miejsca swego przeznaczenia. Każdy z nas rad był, iż mógł po tak skwarnym dniu choćby na garści słomy wypocząć.

Nazajutrz około południa nastąpił dalszy marsz celem połączenia się z innymi pułkami, z którymi mieliśmy wspólnie odbyć manewry.

Kilka dni zeszło na mniejszych ćwiczeniach po polach i lasach; miałem więc sposobność poznać dokładnie położenie miejsca i wiedziałem dobrze, gdzie stoi każdy pułk, każda kompania, gdyż jako oficer ordynansowy musiałem roznosić rozkazy z jednego miejsca na drugie.

Pewnego dnia, odwiózłszy rozkaz do pobliskiej wioski, wracałem do swoich. Było już dobrze z południa. Tak mnie, jak i konia oblewał pot ze zmęczenia. Już bowiem od godziny czwartej zrana jeździłem z rozkazami, odnoszącymi się do dnia jutrzejszego, w którym miało się odbyć wielkie ćwiczenie przed sztabem. Wiedząc dobrze, że całe dzisiejsze popołudnie przeznaczone było na wywczas, ażeby ludzie mogli odpocząć, nie spieszyłem się z powrotem.

Droga moja prowadziła przez las, poprzerywany tu i ówdzie pięknemi polankami, porosłemi zieloną trawą. Gdy już byłem w połowie lasu i wjechałem na jednę taką polanę, tak mnie ujęła jej zielona murawa, że mimowoli tu się zatrzymałem, ażeby dać koniowi wytchnienie, a samemu spocząć na miękkim, żywym kobiercu. Zeskoczyłem szybko z konia, zwolniłem gurty od siodła, wędzidło z pyska wyjąłem i pozwoliłem koniowi skubać zieloną trawkę. Widocznie smakowała mu ta świeża pasza, bo wnet oczyścił z niej miejsce, na którem stał i rwał się dalej szarpiąc cuglami, które dla bezpieczeństwa trzymałem w ręce.

Wsparty na łokciach puściłem wzrok w dal... patrząc z rozkoszą na cały krajobraz, jaki się roztaczał przedemną.

Na krańcu widnokręgu rysowały się wyraźnie nagie szczyty gór, skąpane w kryształowem świetle słońca; bliżej nieco szarzało się pasmo lasów, ciągnących się ostro wygiętym łukiem ku zachodowi, a pod nimi leżały urodzajne pola i łąki pokryte różnobarwnem kwieciem. Wąska drożyna, przecinana kilkakrotnie wijącym się potokiem, prowadziła w dół ku wiosce. Przy drodze stał pochylony od starości krzyż, a w środku wsi, ponad wierzchołkami cienistych lip, sterczała kopułka kościoła.

Cisza panowała nademną i około mnie. Ta wspaniała świątynia przyrody, ten widok polskiej wsi tak owładnęły całą mą istotą, że zapomniałem o służbie wojskowej, o jutrzejszem ćwiczeniu, a myśl moja przeniosła mnie w przeszłość, kiedy to jeszcze dzieckiem będąc uganiałem jak pachole wieśniacze po takich jak te zielonych kobiercach łąk, po takich samych polach, ciągnących się wąskimi paskami od wioski do lasu. Wszystko to już przeszło. Rodzice moi byli zamożni i posłali mnie do szkoły, ażebym został księdzem. Niestety, pomarli oboje dość młodo, a ja nie mając poparcia od rodzeństwa na ukończenie nauk, wstąpiłem do wojska i po kilku latach służby zostałem oficerem.

Myśl moja, o ile sobie przypominam, bawiła dość długo w tej krainie przeszłości.

Wtem nagle szarpnął koń cuglami silniej, że o mało ich nie wypuściłem z ręki. Oglądam się poza siebie i widzę na krańcu lasu wychodzącą z gąszczu leśnego kobietę.

Była to już staruszka. Czas zmarszczył jej twarz, niegdyś piękną, a niebieskie, głęboko zapadłe oczy świeciły jakimś dziwnie łagodnym blaskiem. Ubrana była schludnie, a za całą ozdobę miała piękną kolorową chustkę, którą trzymała na ręce. Zobaczywszy mnie, chciała skręcić w boczną drożynę, lecz ja zatrzymałem ją przemówiwszy do niej łagodnie po polsku:

— Dokądże to Bóg was prowadzi, dobra kobiecino?

— Do wsi — odpowiada, wskazując ręką na leżące w dolinie sioło.

— A nie macie też przy sobie kawałka chleba! Chętnie wam to wynagrodzę, bo jestem głodny.

Na te słowa podeszła staruszka bliżej, pochwaliła Pana Boga i rzekła nieśmiało:

— Mój Boże, jeżeli już pan oficer nie mają kawałka chleba, co są przecież panem, to cóż to za głód musi cierpieć mój biedny Wojtuś! Od łońskiego roku służy przy wojsku gdzieś bardzo daleko, a teraz — jak słyszałam — ma być z wojskiem w tych stronach. Już od wczoraj rana szukam go

bez ustanku, a nie mogę go znaleść. Wszędzie mnie odpychają i mówią, żem głupia, że sama nie wiem, czego chcę. Oj, tak to pogardzają starą, któraby przed śmiercią choć raz jeszcze chciała ujrzeć swojego Wojtusia.

Po tych słowach dwie duże łzy jak dwie perły spłynęły po jej zmarszczonych policzkach.

Żal mi się zrobiło biednej matki. Tłómaczyłem jej, jak mogłem najwymowniej, że to teraz nie wojna, lecz tylko manewry, że żołnierz ma dobrze, że dostaje jeść do syta, a przy obiedzie ma nawet wino. Nie zdołało to jednak narazie utulić poczciwej staruszki; łkała jak dziecko zawodząc co chwila:

— Oj biedny, mój Wojtuś, biedny, już się z nim nie obaczę na tym świecie, o ja nieszczęśliwa!

Wreszcie po długich przekonywaniach udało mi się w części uspokoić starowinę i przyprowadzić ją do równowagi uczuć. Gdym się w końcu od niej dowiedział, przy którym pułku i kompanii jej Wojtuś służy, powiedziałem jej dokładnie, gdzie ma iść, a znajdzie syna. Jako oficer ordynansowy wiedziałem to dobrze, gdzie ów pułk stoi. Dla ułatwienia poszukiwania wręczyłem jej jeszcze mój bilet, ażeby go okazała, gdyby ją nie chciano puścić do jej Wojtusia.

Staruszka, opromieniona szczęściem, dziękowała mi ze łzami w oczach, prosząc Boga, ażeby mnie miał w swojej opiece i zlewał na mnie wszelkie błogosławieństwo.

Gdy już miała odejść w stronę, którą jej wskazałem, uścisnęła mnie na pożegnanie za kolana, mówiąc przez łzy:

— Niech Bóg będzie tak łaskawy dla was, dobry panie, jak wy byliście łaskawi dla stroskanej matki...

Gdy tych słów domawiała, ozwał się z wieży kościelnej głos dzwonu na Anioł Pański... Brzmiał smętnie i uroczyście, odbijając się echem od lasów i wzgórz. Staruszka przeżegnawszy się odeszła z modlitwą na ustach, a ja stałem jak nieruchomy, łowiąc uchem ostatnie milknące dźwięki...

Naraz opanowało mnie jakieś dziwne wzruszenie i rozrzewnienie. Mimowoli zdjąłem czapkę z głowy i po latach tylu odmówiłem znowu... „Anioł Pański"...

W tej chwili czułem to dobrze, że inny człowiek obudził się we mnie. Było mi tak lekko na sercu, tak wesoło jak niegdyś, gdym żył w chacie przy moich rodzicach.

I znowu myśl moja cała wróciła do przeszłości. Zobaczyłem okiem duszy tę chatę, w której się urodziłem i wychowałem; ten ogródek i drzewa, po których się wspinałem za owocami; ten kościółek drewniany, do którego w niedziele

i święta szedłem boso przy boku matki. Wszystko to stanęło jakby żywe w mojej wyobraźni, a o tyle piękniejsze, że oddzielone przestrzenią tylu lat.

Jakby dla zamącenia tych pięknych obrazów nasunęło mi się znowu na myśl moje dotychczasowe życie w mieście. O jakże ono różne od życia prostaczków biednych i opuszczonych!... Nie dba o nich brać starsza, ale często także wyrzekają się ich ci właśnie, którzy przedewszystkiem pracować powinni nad nimi, nad ich uszlachetnieniem i oświeceniem.

Więc ja — pomyślałem sobie — ja krew z ich krwi i kość z ich kości miałbym o nich zapomnieć?... Nie daj tego Boże!...

Powróciwszy z manewrów, porzuciłem zawód wojskowy i wstąpiłem w szeregi innej armii, która walczy nie szablą, nie karabinem, ale słowem i piórem. Walczy z wrogiem nie mniej gorszym od nieprzyjaciela zewnętrznego, bo z ciemnotą i nędzą. Zostałem nauczycielem ludowym.

Dziś jestem szczęśliwy. Żyję w gronie kochającej mnie rodziny i pracuję z ochotą i zamiłowaniem nad oświeceniem młodych pokoleń, nad uszlachetnianiem ich serc i dusz, zaszczepiając w nie miłość Boga, rodziców i ziemi ojczystej.

O Chinach i Chińczykach.

(Ciąg dalszy).

Życie Chińczyków. Mieszkańcy Chin są niewątpliwie jednym z najstarszych narodów ziemi: ich księgi uczone zawierają podania sięgające przeszło czterech tysięcy lat przed Narodzeniem Chrystusa, — a początki ich dziejów nikną zupełnie w pomroce czasów. Oddzieleni od innych narodów wysokiemi górami, niedostępną pustynią lub morzem, zamknięci w sobie, wreszcie nienawidzący wszystkiego, co obce, Chińczycy wytworzyli sobie życie własne, odrębne od życia innych narodów, lecz w każdym razie wysoce rozwinięte i dla nich wystarczające w zupełności. Ze szczególną nienawiścią odnoszą się oni do ludzi białych — Europejczyków, lękają się ich wpływu, ich nauki, oświaty i urządzeń; trzymają się ślepo praw i obyczajów swych przodków, uważając je za odpowiedniejsze dla siebie od europejskich nowości.

Ta odrębność życia chińskiego jest powodem, dlaczego Europejczykom przedstawia się ono dziwnem, niekiedy nawet śmiesznem. — Nie mogąc zatrzymywać się tutaj długo nad

tym ciekawym narodem, podamy tylko niektóre rysy z jego obyczajów.

Najważniejszą oznaką charakteru Chińczyka jest jego niewyczerpana pracowitość. Widzieliśmy go na roli — przy uprawie ryżu i herbaty: takim samym jest on w kopalniach, fabrykach, warsztatach, miastach portowych, nawet za granicą — w Ameryce i Australii, dokąd tysiączne tłumy chińskich robotników (kulisów) wyjeżdżają czasowo na zarobki. Chińczyk — jest to prawdziwy robotnik, człowiek, którego celem jest cicha, spokojna praca. Kto wie, czy nie tem zapracowaniem się Chińczyków należy tłómaczyć ich zbytnią łagodność i tchórzliwość....

Drugą właściwością Chińczyków jest ich nadzwyczajna wstrzemięźliwość i zdolność poprzestawania na małem. Robotnicy innych krajów pracujący razem z wychodźcami chińskimi, wyjść nie mogą z podziwu, jak mało potrzebują oni do życia: Chińczyk obywa się byle czem, zbierając zapracowany grosz na powrót do kraju i nabycie tam kawałka ziemi. Ale też za to zgadza się on pracować za lichszą zapłatę, obniżając przez to płacę miejscowych robotników, wywołując ich niezadowolenie, a nawet jawne bunty, jak to było kilka razy w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

W życiu towarzyskiem Chińczyk, szczególniej wykształcony, odznacza się wielką grzecznością, posuniętą częstokroć do ostatecznych granic. Gdy gość wchodzi w dom Chińczyka, ten wstaje i nie siądzie pierwej, dopóki gość nie zajmie miejsca z jego lewego boku — od strony serca... Gdy gość podczas rozmowy się podnosi, gospodarz wstaje natychmiast z miejsca. Przy spotkaniu dwóch znajomych na ulicy, składają oni obie ręce, wznoszą je do piersi lub czoła, rozpytując się wzajemnie z wyszukaną grzecznością o zdrowie. Sam sposób ukłonu i rozmowy zależy od stanu i wieku spotkanej osoby. Gdy spotkają się dwaj urzędnicy tego samego stopnia, lecz różnego wieku, młodszy składa starszemu głęboki ukłon. W ogóle Chińczycy odznaczają się wielkiem poszanowaniem dla starszych. Człowiek stary uważa sobie za grzeczność, gdy ktoś zapyta go: „jakże szanowne zęby pańskie?“ — co znaczy: „ile pan ma lat?“ Mówiąc do osoby starszej, Chińczyk nie ośmieli się powiedzieć jej „wy“ ani „panie“ lecz nazywa ją: „waszą miłością“. Mówi naprzykład: „Przysługa, jaką wasza miłość raczyła wyświadczyć swemu najniższemu słudze, wzruszyła go do głębi duszy“.

To samo poszanowanie starszych widzimy w wyższym jeszcze stopniu w rodzinie chińskiej: religia i prawo nakazują szacunek dla rodziców i starszych, a głęboka cześć przodków, składanie częstych ofiar na ich grobach, jest jednym z najpierwszych obowiązków. Po śmierci członka rodziny obowiązuje mniej lub więcej długotrwała żałoba, polegająca na barwie szat, powstrzymywaniu się od zabaw, muzyki i t. p. Ciekawem jest, że w Chinach barwą żałobną jest biała, przy mniejszej żałobie — brunatna. W chwilach powszechej żałoby, Chińczycy nietylko noszą białe suknie, ale przytem mężczyzni nie golą brody i nie strzygą włosów — wbrew zwyczajowi, nakazującemu zostawiać na głowie tylko długi warkocz i starannie golić cały zarost, prócz wąsów.

Położenie kobiety w rodzinie chińskiej nie jest wcale gorszem, niż u nas; w niższym stanie musi ona narówni z mężczyzną pracować na utrzymanie rodziny, rzadko się jednak zdarza, żeby mąż bił ją i poniewierał: przeciwnie, podobno nieraz tam żona wodzi męża za nos, jak to zresztą i u nas niekiedy bywa.... Kobiety klas wyższych, zamożniejszych, ulegają dziwnemu i w najwyższem stopniu nierozumnemu zwyczajowi ściskania nóg od dziecka, żeby mieć nogi jak najmniejsze. To też wiele z nich są prawdziwemi kalekami, które prawie wcale chodzić nie mogą i muszą być noszone w pudłach, zwanych lektykami. Ażeby mieć maleńkie nóżki, kobiety chińskie poddają się strasznym cierpieniom: w dzieciństwie ściskają im nogi bandażami, jak najmocniej, następnie wkładają wązkie trzewiki z drewnianym korkiem dla podniesienia pięty w górę.

Szczególnie radosnym wypadkiem w rodzinie chińskiej jest narodzenie syna, gdy przyjdzie na świat córka, ojciec musi słuchać żartów i przycinków swych przyjaciół. Radość ta tłómaczy się obyczajem, na mocy którego, syn, nawet ożeniony, pozostaje zawsze przy rodzicach, wspierając ich w starości, podczas gdy córka, wychodząc za mąż, opuszcza dom rodzicielski.

Posiadają też Chińczycy wiele urządzeń społecznych, zasługujących na zaznaczenie. Takiemi są n. p. „towarzystwa pożyczkowe“, udzielające potrzebującym taniego kredytu, co przy nader rozpowszechnionej w Chinach lichwie, jest prawdziwem dobrodziejstwem dla niezamożnej ludności. Są też tam „towarzystwa kupieckie“, oznaczające ceny towarów, dostarczające kupcom tanich pożyczek, zakładające po miastach straż ogniową i t. p. Prawny procent w Chinach wynosi po-

pobno trzy od sta na miesiąc, to jest 36 od sta rocznie! Tłómaczy się to tem, że wierzyciel, wskutek przekupstwa sądów chińskich, nie jest nigdy pewien odebrania swoich pieniędzy. To też nieraz musi on sobie sam egzekwować należność — a to w następujący sposób: zabiera ze sobą maszynkę do herbaty, fajkę i materac — i wnosi się do mieszkania dłużnika, nie opuszczając go dopóty, dopóki swego długu nie odbierze....

Nauka w Chinach jest wysoko cenioną, otwiera bowiem każdemu drogę do najwyższych dostojeństw. Kto chce otrzymać urząd państwowy, musi składać egzamin; im urząd ma być wyższym, tem egzamin jest trudniejszym. Urzędy dzielą się na dziewięć klas, każda po dwa stopnie. Gałki na kapeluszach oznaczają, do jakiej klasy urzędnik należy: urzędnicy czyli mandaryni pierwszej i drugiej klasy mają gałki czerwone, trzeciej — niebieskie, czwartej — szafirowe, piątej — kryształowe, szóstej — białe, a trzech klas najwyższych — złote.

Nauka chłopca zaczyna się od szóstego roku życia. W siódmym odłączają go już od matki i sióstr, a w dziesiątym idzie do szkoły, gdzie musi się uczyć czytania, pisania rachunków i różnych prawideł grzeczności. Od lat trzynastu do piętnastu młody Chińczyk uczy się muzyki i śpiewu. — Potem ćwiczy się jeszcze w gimnastyce, konnej jeździe i robieniu bronią, poczem na znak dojrzałości otrzymuje czapkę, która daje mu prawo zasiadania pośród mężczyzn i ubierania się w jedwab i futra, — co dotąd było mu najsurowiej wzbronionem.

Ceremonia dojrzałości odbywa się bardzo uroczyście. W oznaczony dzień zbiera się cała rodzina młodego Chińczyka oraz liczni goście. Jeden z krewnych, obrany za mistrza ceremonii, wkłada młodzieńcowi czapkę, mówiąc do niego: „Pamiętaj, że przywdziewasz strój człowieka dojrzałego i że dzieciństwo twoje się skończyło. Wyrzeknij się więc wszelkich dziecinnych uczuć i zachcianek; staraj się być poważnym, jak przystoi mężczyźnie, zajmij się pilnie nauką mądrości i cnoty, abyś przez to zasłużył sobie na długie i szczęśliwe życie“.

Pomimo wieloletniej nauki, Chińczyk całe życie pozostaje ciemnym i zabobonnym, gdyż nauka ta w znacznym stopniu jest fałszywą, pozbawioną prawdziwych podstaw. Komety naprzykład i zaćmienia słońca uważane są za ostrzeżenia z nieba; zaćmienia słońca i księżyca przypisują się złym duchom, smokom; grzmoty, pioruny i grady uważane są za objawy gniewu bóstw niebieskich.... Ten brak nauki prawdziwej, — przy

pogańskiej, pełnej zabobonów religii, — stanowi słabą stronę umysłowego życia Chin.

Chińczyk umie szczerze pracować, ale lubi też się bawić. Jedną z największych przyjemności w Chinach stanowi teatr, gdzie stosownie przebrani aktorzy dają najrozmaitsze przedstawienia. Teatry spotykają się tam nietylko w stolicach, ale nawet w małych miasteczkach i po wsiach.

Gdzie brak teatru, tam zastępują go przedstawienia z lalkami, czyli — po naszemu — szopka. Chińczyk, okryty od stóp do głowy długą zasłoną, trzyma na głowie mały domek — szopkę, w ktorej występują lalki, poruszane zręcznie jego rękami. Odpowiednie przemowy i śpiewy uzupełniają przedstawienie, budząc wielką ciekawość i zachwyt w gromadce niewybrednych słuchaczy.

W miastach chińskich na każdym kroku spotkać można jakąś szopkę, kuglarza rzucającego zręcznie w górę talerze lub nóż, wywracającego kozły i t. p.

Gra w piłkę, puszczanie ozdobnych latawców papierowych, są ulubioną rozrywką nawet dorosłych Chińczyków; a iluminacye, czyli oświetlenie domów, ulic i ogrodów zapomocą papierowych lamp, oraz sztuczne ognie (fajerwerki) stanowią niezbędną okrasę każdego święta, każdej uroczystości.

Dokończenie nastąpi.

Młocka zboża w Bułgaryi.

Praca rolnika bułgarskiego odbywa się jeszcze starodawnym od przodków przejętym obyczajem. Mało tam jeszcze są znane nowożytne ulepszenia narzędzi gospodarczych i sposób uprawiania roli; wszystko odbywa się po staremu, z większym zatem nakładem siły i pracy, ale z mniejszymi skutkami.

Ziarno oddziela się od plewy, jak najczęściej i u nas, nie w maszynowych młocarniach, ale przez szuflowanie, czyli rzucanie zboża do góry, skutkiem czego plewy ulatują z prądem wiatru.

Bułgarski sposób młócenia jest także dziwnym i niekorzystnym; mają tam rodzaj sanek, do których u spodu mocno przyczepione są krzemienie. Sanie te ciągnie wół albo koń, a na nich siedzi dla nadania im ciężaru osoba, która pogania zwierzę. Rozumie się, że zwierzę często sięga po słomę, a zatem ten sposób młócenia przypomina słowa Pisma świętego: „Nie zawiążesz gęby wołowi młócącemu“.



MŁOCKA ZBOŻA W BUŁGARYI.

Do młócenia takim sposobem kłosy ułożone są do koła miejsca, po którem przechodzą sanie, a krzemienie ciśnieniem swojem wydzielają ziarno.

RAMPSINIT.

(Stare podanie egipskie).

Był jeden król w Egipcie, nazwiskiem Rampsinit. Ten, zamiast sobie skarbić serca poddanych, wolał zbierać pieniądze, za które już, zdaniem Rampsinita, wszystkiego a nawet i serca dostać było można.

Przez kilkanaście lat swego panowania, zgromadził niezmierne skarby, i był najszczęśliwszy, gdy mógł poić oczy widokiem tylu dyamentów, rubinów, pełnych beczek żółtego złota, niezmiernych kadzi siwego srebra. Jedna tylko mała okoliczność niepokoiła jego serce: drżał jak listek osikowy na wspomnienie, że te z takim trudem zgromadzone zbiory, mogły mu być przez niegodziwych ludzi wydarte, skradziona połowica, co mówię połowica, cała dusza jego.

Dlatego niedowierzając nikomu, wisiał jak pies na łańcuchu przy swoich skarbach: najmniejszy szelest w nocy spłaszał go z łoża, bo ciągle miał tem głowę nabitą, że już łotry unoszą skarby. Myśl ta okropna dręczyła go dzień i noc. Kto inny byłby może postawił dubeltowe straże, ale nasz Rampsinit nie w ciemię bity, myślał sobie: a któż mi straże pilnować będzie? Aby się więc uwolnić od ciągłego kłopotu, Rampsinit nie widział innego sposobu, jak wymurować skarbiec najwarowniejszy z granitu, czyli raczej skrzynię kamienną, bez okien i bez żadnego zewnątrz otworu, przypierający do jego sypialni, z której jedyne drzwi prowadzić miały do tej pieniężnej cytadeli.

Zawołany do króla budowniczy, ułatwił wkrótce cały interes, zwłaszcza że nie potrzebował sobie głowy łamać nad wytwornością struktury; szło tu bowiem tylko o grube ściany, o szczelną i warowną robotę. Lubo król nie wyjawił budowniczemu przy abrysie, do czego ten przyboczny osobliwszy gmach był przeznaczony, ponieważ to właściwie nie należało do rzeczy, a Rampsinit też nie lubił z nikim rozmawiać o swoich skarbach; przecież domyślny rzemieślnik zgadł od razu, o co tu idzie. Nie wiadomo, czyli budowniczy nie zbyt hojnie od skąpego króla za swą pracę wynagrodzony został, czyli też, co podobniejsza do prawdy, z wrodzonej ludziom chętki do

złego, wywiązał się z danego sobie polecenia w sposób najnieuczciwszy, jak się to niżej okaże.

Jakkolwiek bądź, Rampsinitowi spadł kamień młyński z serca, gdy ujrzał wszystkie beczki z pieniądzmi, szkatułki z dyamentami, do tej warowni zniesione, porządnie poustawiane za żelaznemi, mocno kowanemi drzwiami schowane, od których klucz w jego znajdował się kieszeni. Codzień po smacznym obiedzie, dla większej strawności żołądka, pasł oczy swoje widokiem ponętnego złota, a młoda królewna, córka jego, cieszyła się, jako uśmiechająca się wiosna, że jej dawniej tak skłopotany ojciec, wypogodził zachmurzone czoło, i nuciła dla jego rozrywki zastósowaną do tego piosneczkę.

Ale ten błogi stan nie był długotrwały. Wszedłszy raz Rampsinit do skarbca, i wpatrzywszy się w jednę ulubioną pękatą, złotem napełnioną beczułkę, dostrzegł w niej jakąś zmianę, i zdawało mu się, że czerwieńce poruszone były. Zmieszało go mocno tak niespodziewane odkrycie, a jako był pań przezorny, porobił w beczkach pewne znaki. Lecz jakież było jego okropne przerażenie, gdy nazajutrz raniuteńko, zajrzawszy do skarbca, przekonał się dowodnie, że prawie z każdej beczki pieniędzy ubrano.

Od tej chwili powróciła dawna jego niespokojność i trwoga, a to tem bardziej, że pojąć nawet nie mógł, kto i jakim sposobem zakrada się do jego skarbca, kiedy zamki i pieczęcie, które dla większej pewności kładł teraz na drzwiach, były nienaruszone. Rampsinit zapalił swoją małą lampkę, chodził z nią około gołych ścian skarbca, szukając jakiego znaku, ale mury wszędzie warownie i szczelnie z granitów spojone, niepodobnem czyniły wnijście. Pomimo to jednak widać było aż nadto jawnie, że tajemna ręka podbiera jego złoto.

Rampsinit zachodził w głowę. Na kogo tylko spojrzał, widział w nim złodzieja swoich pieniędzy; a nasz wiarogodny historyk twierdzi, że nawet pierwszego ministra miał w podejrzeniu. Szło teraz tylko o to, jakby schwytać tego niegodziwego człowieka. Postawić wartę zewnątrz skarbca, toby nie było doprowadziło do celu, owszem byłoby go ostrzegło o niebezpieczeństwie. Po długich więc namysłach, przedsięwziął król pozastawiać wewnątrz skarbca, około najpękatszych beczułek, sidła i żelaza. Wierny rzemieślnik narobił ich, ile było potrzeba i pozastawiał, jak żądano.

Teraz wracam do złodzieja, czyli raczej złodziei. Budowniczy ów, jak się powiedziało, zbyt domyślny, jeden z granitowych kamieni w ścianie tak zręcznie położył, iż tenże

łatwo z fug swoich dał się wysuwać, otwierając temsamem wygodne wnijście do skarbca. Sam budowniczy nie korzystał nigdy z tej sposobności zbogacenia się, nie długo bowiem po zakończeniu budowy, rozniemógłszy się, śmiertelnie zachorował, a będąc troskliwszym o zapewnienie swej żonie i synom łatwego sposobu do życia, niż o ich dobre imię i uczciwość, odkrył im na śmiertelnem łożu tajemnicę o kunsztownie wprawionym kamieniu do skarbca.

Tego im też właśnie było potrzeba. Ledwie pochowali ojca, natychmiast pierwszej zaraz nocy z niecierpliwością wielką udali się na wskazane miejsce, i porządnie napełnili wszystkie kieszenie, a gdy się te wkrótce wypróżniły, uznali za rzecz słuszną, odwiedzić znowu skarbiec, aż się nareszcie rzecz cała wykryła, i owe nieszczęsne żelaza, pomimo ich wiedzy zastawione zostały.

W dobrej wierze poszli i tą razą jak na pewne i po swoje, i najstarszy brat uchyliwszy kamienia, wlazł najprzód do skarbca. Ledwo kilka kroków postąpił, zwarły się kunsztowne żelaza, i jego całego bez ratunku pochwyciły. Poznał natychmiast swoje położenie, ostrzegł o niem wchodzącego za nim młodszego brata, a ponieważ był człowiekiem rezolutnym i odważnym, w te odezwał się do niego słowa: „Mnie już ocalić nie zdołasz, ale zginąłbyś i ty i nasza matka, gdyby mnie tu znaleziono. Nie masz więc innego sposobu wybawienia was przynajmniej, jak abyś mi natychmiast głowę uciął, i wziął ją z sobą, to rzecz nie odkryje“.

Młodszy brat wzdrygał się wprawdzie na taką braterską propozycyę, ale gdy widział, że schwytany i tak umrzeć musi, w końcu rezolwował się na wszystko. Po tym krwawym czynie wziąwszy głowę swego brata, wylazł spiesznie otworem, wsunął za sobą kamień, jak należało, i pośpieszył do matki. Skoro świt, Rampsinit pokwapił się do skarbca, chcąc się naocznie przekonać o skutku swego fortelu. I nigdy podobno król żaden bardziej się nie zdumiał, jak Rampsinit, gdy ujrzał przy swych pieniądzach trupa bez głowy, i najmniejszego śladu wnijścia.

To było dla niego prawdziwą zagadką. Nie tracił jednak nadziei, i spodziewał się za pomocą trupa dojść kłębka po nici. Rozkazał więc wystawić zwłoki zabitego na widok publiczny, i natychmiast chwytać każdego, ktoby na widok trupa smutek lub żal pokazywał.

Pomysł ten, nie czyniący wielkiego zaszczytu przenikliwości Rampsinitowej, nie byłby nigdy wydał współwinowajcy,

albowiem ten zbyt ostrożny i przebiegły, ażeby się miał podawać w niebezpieczeństwo przez niewczesne żale, ale matka jego zmusiła go do przedsięwzięcia środków prawdziwie niebezpiecznych.

Niewiasta ta strapiona śmiercią syna i zniewagą niepochowanych jego zwłok, oświadczyła wręcz żyjącemu, iż jeżeli nie wynajdzie sposobu i nie odda jej ciała do pochowania, sama gotowa jest wszystko królowi wyjawić. Napróżno usiłował nieszczęśliwy syn wybić podeszłej niewieście z głowy takową rezolucyę; ta znając przebiegłość syna, nie dała się niczem poruszyć. Gdy nareszcie widział, że wszystkie prośby są nadaremne, zaczął nareszcie myśleć nad planem do uiszczenia życzeń matki.

Objuczył kilka osłów worami z winem, zapędził je pod wieczór blisko miejsca, gdzie żołnierze stali przy trupie na straży, i wyciągnął z nienacka czopek z dwóch worów; a gdy to obfitym strumieniem lać się na ziemię zaczęło, w głos krzyczeć i lamentować począł, usiłując niby zatkać otwory. Na krzyk ten przybiegli żołnierze, ale zamiast dopomódz nieszczęśliwemu, każdy nadstawiał swój szyszak i zaczęli pić na wyścigi wśród zgiełku i śmiechu. Z początku nasz filut udawał strasznie zagniewanego, ale gdy widział, że ci waleczni rycerze nie pokazywali ochoty do wypuszczenia zdobyczy z rąk swoich, powyciągał, szamocąc się niby z nimi, i inne czopki z pozostałych worów, a tak wino strumieniami w ich szyszaki i gardła płynęło. I na tem się skończyło, że się wszyscy doskonale upiwszy, wkrótce posnęli. Gdy się już dobrze zmierzchło, młodzieniec zabrał zwłoki brata w worek i włożył na osła, a potem chcąc nadto wypłatać królowi figla, ogolił śpiącej straży pół brody po jednej stronie.

Gdy się nazajutrz Rampsinit o tem dowiedział, wpadł w cholerę i chciał na niedbałych strażników wywrzeć cały gniew swój; wkrótce atoli pomiarkował się, ile, że mu tą razą nic z jego złota nie ubyło, a jako pan słuszny i wyrozumiały, nie mógł sam odmówić złodziejowi podziwienia, z przyczyny jego niepospolitego talentu.

Już wyżej powiedziałem, czyli raczej grecki dziejopis, że Rampsinit szczęśliwszym był w zbieraniu materyalnych, niż umysłowych bogactw; ztąd jego plany, które do odkrycia złodzieja wynajdywał, pokazywały, że jego umysłowe usposobienie, czyli, po prostu mówiąc, rozsądek, najczęściej pokpił, gdy szło o co innego, jak o pieniądze. Okazuje się to najle-

piej z niezbyt dowcipnie wymyślonych środków do pochwycenia złodzieja.

Otóż teraz kazał w całem mieście Menfis ogłosić, że ten królewnę za żonę dostanie, kto jej najprzebieglejszą opowie historyą; myślał bowiem sobie, że nadzieja osiągnięcia ręki królewskiej, może znęci przebiegłego filuta do kuszenia się o ten zaszczyt i w tem się właśnie nie omylił; ale tego swym bystrym nie przewidział rozumem, że mu tenże nowy wypłatać może figiel. I tak się też stało.

Przebiegły młodzieniec stawił się niebawem, ale domyślając się zasadzki, przygotował się na wszelki wypadek. Udał się więc raz wieczorem w konkury do królewnej, jak godny papa mieć chciał; a gdy ta młoda dama, podług planu przez króla ułożonego, zapytała go się o dowcipną jaką sztuczkę, opowiedział jej śmiało swoję przygodę z strażnikami królewskimi. Skoro skończył, królewna, podług umowy z ojcem, uchwyciła go za rękę, i narobiła hałasu, aby chwytano złodzieja. Ale jakież było jej zdziwienie, gdy ręka oddzielona od ciała, w jej garści pozostała, a filut uciekł.

Tu już Rampsinitowi przybrakło konceptu; a ponieważ sobie nie chciał dłużej łamać głowy, a ciekawość jego, aby poznać tego człowieka, rosła coraz bardziej; przeto kazał ogłosić powtórnie w stolicy, że jeżeli ten cudowny złodziej sam się przed jego obliczem stawi, nietylko mu winę daruje, ale go jeszcze sowicie wynagrodzi.

Młodzieniec, ufny w słowo królewskie, zgłosił się do Rampsinita, i wyjawił mu ową tak dla niego ważną tajemnicę o ruchomym kamieniu w ścianie do skarbca. „A oddzielona ręka?“ dodał ciekawy król. — Odpowiadający uśmiechnął się i rzekł: Ponieważ się domyślałem, że królewna, po uczynionem zwierzeniu, zechce mnie chwytać, przyniosłem na ten cel pod szatą urzniętą umarłego rękę.

Król widząc od siebie człowieka mędrszego, nie rozgniewał się wcale, lecz owszem bardzo go polubił, i dał mu córkę swoją za żonę, przeciwko któremu najmędrszemu rozporządzeniu królewskiemu, królewna, jak historyk zaręcza, nie robiła żadnych wyjątków.

Tak się kończy historya najsławniejszego w starożytności egipskiego rzezimieszka; wyznać potrzeba, że ten koniec wcale był inny, jaki zwykle spotyka podobnych ludzi w naszych czasach.

Gaduła.

CHŁOP i DJABEŁ.

(Powiastka gminna z nad Warty).

Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie,
Zaczął i dumać i marzyć.
Ot wiesz co, chłopie, tak do niego powie:
Pójdźmy razem piwo warzyć.

Pójdźmy, rzekł Szymczak, i już kocioł grzeje,
Na tęgie piwo się sadzi;
Warzy i warzy, miesza — spuszcza — leje
I oto cały war już w kadzi.

Dzielmyż się teraz, djabeł się odzywa,
Szymczak działu nie odmawia;
Dzielmy się, rzecze, i wierzch bierze piwa,
A djabłu drożdże zostawia.

Źle coś, czart woła, zmieńmy więc umowę,
Posiej mi ziarno na grzędzie:
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co z wierzchu — mojem będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście,
Wschodzi, rośnie plon wzbujały,
Przyszło do działów — djabeł dostał liście
A rzepy chłopu zostały.

Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę,
Widzę, że jesteś mądrzejszy,
Lecz jeszcze jedno — rzucajmy się w górę,
A ujrzym — kto z nas mocniejszy.

I porwał, schwycił i z takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił przy ziemi.

Tęgiś! chłop rzeknie zbladły i zdyszany,
Myślałem, że już nie wrócę,
Lecz teraz kumie, pójdźno w moje szpony,
Niech i ja ciebie podrzucę.

I w pas go bierze i za róg pochwyca
I tak w dwojgu rąk go trzyma,
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca,
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć djabeł — pojąć nie zdoła,
Aż wreszcie, gdy się znudzi, zniecierpliwi,
Czego tak ślepisz? zawoła.

Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
Nie chcę cię rzucać daremnie.
Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
Co cię odbierze odemnie.

Co? ryknie djabeł, czyś głupi? szalony?
Wydarł się z ręki Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urżnął drapaka. *F. M.*

Szkolnictwo ludowe w Ameryce.

Nauka w amerykańskich szkołach ludowych trwa lat 8, od 6 do 14 roku życia. W północnej Ameryce obowiązuje przymus szkolny, a do szkół elementarnych uczęszcza 15 milionów dzieci. Same szkoły ludowe pochłaniają rocznie 200 milionów dolarów (dolar tyle, co 5 koron), z tego 123 miliony idzie na pensye dla nauczycieli i inspektorów.

Pensye nauczycieli są dość wysokie, wyższe jak gdziekolwiek pobierają nauczyciele. Zwykle pobiera nauczyciel 700 dolarów rocznie (3500 koron) oprócz wynagrodzenia w naturze; nauczycielki pobierają 600 dolarów (3000 koron).

W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki jest w ogóle 400.000 nauczycieli, w tem dwie trzecie części przypada na nauczycielki, których garnie się coraz więcej do stanu nauczycielskiego. Nawet inspektorkami i wyższymi urzędnikami w szkolnictwie bywają nauczycielki.

Rok szkolny obejmuje 143 dni, za to nauka trwa lat 8.

Szkoła ludowa w Ameryce postanowiła sobie za zadanie nauczyć każdego obywatela czytać i pisać, a mianowicie czytać gazety, a pisać zupełnie poprawnie i rachować, oraz znać geografię.

Kto się nauczy czytać — ten już ma podstawę do dalszego kształcenia się.

Pod względem przepisów zdrowia, szkoły amerykańskie są wzorowe. Sale są obszerne, doskonale przewietrzane i ogrzewane. Dzieci tam nie siedzą ściśnięte obok siebie w ławkach, lecz każde dziecko siedzi osobno. Amerykanie dzieciom swoim nie żałują miejsca.

Wadą szkół amerykańskich jest zaniedbanie religii i moralności. Religii wcale w szkołach nie uczą, a to dlatego, że dużo tam sekt religijnych, i do każdego prawie dziecka trzebaby osobnego katechety.

Brakowi temu zaradzają jednak niedzielne szkoły wyznaniowe, które osobno prowadzą duchowni.

Skutki pijaństwa.

(Kilka przykładów.)

Pijaństwo prowadzi za sobą nie raz, ale bardzo często nader zgubne skutki. Przykładów na to możnaby przytoczyć tysiące, bo się codziennie zdarzają. Przytoczymy tu kilka:

Aleksander Wielki, król Macedonii, zabił w pijaństwie najlepszego przyjaciela swego, Klitusa, który mu życie uratował. Gdy tenże przy biesiadzie na drobną rzecz uwagę mu zwrócił, Aleksander, dobrze podpity, dobył miecza i przebił go na miejscu. Wprawdzie po spełnieniu tego czynu płakał i narzekał, ale łzy jego już Klitusa do życia nie przyprowadziły.

Ks. Leopold Kist opowiada, iż w jego parafii wydarzył się następujący wypadek: W zimie przywieźli dziecko do chrztu na sankach. Po chrzcie „kumotrowie“ i „kumoszki“ poszli do karczmy i tam sobie nieco podchmielili. Z powrotem do domu oddała kumoszka poduszeczkę niby z dzieckiem matce, która od kilku godzin z największą tęsknotą na to czekała. Biedna matka patrzy — a tu poduszka próżna. „Kumoszki“ pijane położyły dziecko na sanki i nie uważały na nie, a dziecko się wysunęło z poduszki, wyleciało z sanek i na drodze pozostało. Na szczęście śnieg był miękki, a zimno nie wielkie i jeszcze dziecko znaleziono i do życia przywrócono.

W tejżesamej parafii „kumoszki“ pewnego razu poszły z dzieckiem do karczmy, położyły je na ławie i zaczęły popijać na zdrowie chrześniaka. I gdy sobie nieco już podchmieliły, idą po dziecko, a tu o zgrozo! niema dziecka, tylko kałuża krwi obok poduszeczki. W czasie bowiem, gdy one sobie popijały, przyszła świnia do karczmy, wyciągnęła dziecko i pożarła je całe na miejscu. Możecie sobie wyobrazić boleść matki, — a takich wypadków było więcej.

Pewien pijak siedział sobie w karczmie przy kieliszku wódki. Kiedy nadszedł jego mały synek, poruszył go i rzekł: „tatusiu, mama prosi, abyś przyszedł natychmiast do domu, bo bydło z chlewa uciekło i nie może sobie sama poradzić, ani bez twej pomocy powiązać i do chlewa wprowadzić!“

— Idź do domu, ja zaraz przyjdę! — rzekł spragniony ojciec i pozostał przy kieliszku.

Po chwili znów nadszedł ten sam chłopak. pociągnął ojca za surdut i rzekł: chodź tato do domu, bo braciszek spadł ze stołu i w głowie sobie dziurę zrobił, krew mu tak ciecze, że ją mama zatrzymać nie może, a może i umrze. Chodź tato do domu! — Idź do domu — rzecze czuły ojczulek, — a ja zaraz przyjdę.

Syn poszedł, a ojcu się ani śniło iść do domu. Wieczorem przychodzi ten sam chłopak do tej karczmy z płaczem wielkim i szarpie ojca za surdut i prosi: tatusiu, chodźcie do domu, bo mama upadła i nogę sobie złamała; tatusiu na miłość Boga, spieszcie do domu, bo mama umrze! Tatusiu, zmiłujcie się i miejcie litość nad mamą, już tak płacze, tak prosi, a nie ma nikogo, ktoby ją podniósł, jej pomógł, lub po doktora poszedł! — Idź dziecko do domu — rzecze znowu czuły małżonek — i powiedz mamie, że ja już idę, że to nie jest tak źle, niech się nie boi, a ja zaraz przyjdę i jej lekarza przywołam.

Pijaczysko pozostał jeszcze na miejscu. Po godzinie wreszcie przylatuje ten sam chłopak i woła: tato, tato, chodźcie zaraz do domu, bo obręcz u beczki z wódką pękła i wódka wycieka! — Skoro chłopak te słowa wymówił, zerwał się ów człowiek ze stołka, jakby go kto gorącą wodą oparzył i popędził do domu.

— Co? wódka ciecze? obręcz u beczki pękła? co ty mówisz? a dawno się to stało, a dużo już wódki wypłynęło? — Oto były jego pytania, które, pędząc do domu, synowi zadawał. To wydało się jemu największem nieszczęściem: niech tam sobie bydło z chlewa ucieka, choćby i nigdy nie wróciło, to go mało obchodzi, niech tam sobie dziecko ze stołu spada i nawet kark sobie skręci, to go bardzo mało zajmuje, niech sobie żona nogi łamie i chociażby się nawet i zabiła, to dla niego ma bardzo małe znaczenie; a możeby się nawet i cieszył z tego, bo nie byłoby wtedy nikogo, któryby mu w jego nałogu przeszkadzał: ale gdy wódka jego ma mu się zniszczyć, to największe dla niego nieszczęście.

No i co wy na to, kochani Czytelnicy, powiecie?

Zdaje się, że tu żadne więcej objaśnienie niepotrzebne, że te fakta, a jest ich tylko kilka, które z tysięcy a tysięcy podobnych przytoczyliśmy, a których nikt nie może zaprzeczyć, wystarczą, ażeby wielu nakłonić do porzucenia tego nałogu i wzgardzenia wódką na zawsze.

Różaniec jako ratunek życia.

Żołnierz Jakób Orwal w 42 regimencie francuzkiej piechoty był przy oblężeniu Paryża przez Niemców, od swego

porucznika pewnego poranku posłany na bardzo niebezpieczny posterunek. Czołgając się po ziemi, przybył wreszcie na wyznaczone miejsce; trzymając swoją strzelbę do wystrzału gotową, leżał w nizinie, śledząc na wszystkie strony, czy się nieprzyjaciel nie zbliża. Podczas tego huczały armaty z fortu Iwry i z fortu Charenton; z nimi mieszał się huk strzelb; granaty gwizdały mu ponad głową i pękały na około niego.

Tak minęło kilka godzin, a żaden forpoczt nieprzyjacielski nie pokazał się. Wtem spostrzegł naraz za drzewem, może o jakie 50 metrów odległem, głowę i ręce człowieka. Nie mógł już przeto wątpić, że nieprzyjaciel jest w bliskości.

Młody Francuz, chcąc się o tem przekonać, dobył perspektywę z kieszeni, aby mógł lepiej widzieć. Dostrzegł bawarskiego żołnierza, który leżał na ziemi podparłszy głowę ręką i jak się zdawało, jakoby zamyślony kijem w ziemi coś rysował.

O swojem przeznaczeniu forpoczta zdawało się, że zapomniał całkiem. Był to młody człowiek bez zarostu z krótko uciętem blond włosami i miłą szczerą twarzą; niezawodnie bawiły jego myśli w dalekiej ojczyźnie. Lecz dozwólmy francuzowi dalej opowiadać.

„Ubolewałem nad tem (żal mi było), żem był zmuszony owego bawarskiego żołnierza zabić. Wziąłem przeto moją strzelbę, schyliłem się na kolano, wycelowałem i czekałem dopóki się lepiej nie ukaże. Chciałem mu do piersi wypalić, aby mu mniej bólu zrobić“.

Wtem podniósł Bawarczyk głowę, obejrzał się i gdy nic podejrzanego nie widział, usiadł sobie, wyjął z kieszeni skórzanny woreczek, położył go na swoje kolana i wydobył z niego jakiś przedmiot, któregom nie mógł poznać.

Położyłem moją fuzyę, wziąłem mój mały dalekowidz i widziałem, że Bawarczyk w ręku swym trzymał Różaniec święty. Powstał teraz, ukląkł, przeżegnał się i stanął jak go właśnie na ten cel sobie życzyłem. Wziąłem przeto za strzelbę i wycelowałem na niego. Widziałem go przed moją lufą z nieco pochyloną głową i ku niebu zwróconemi oczami. Jego wargi poruszały się w modlitwie. Co się ze mną stało? Tego nie wiem; jako chrześcijanin uczułem, jak krew w moich żyłach wrzała; nie mogłem strzelić; broń mi wypadła z rąk.

Powrócił Bawarczyk bez wątpienia do swej ojczyzny, nie myśląc o tem, iż Różaniec święty uratował mu życie.

Mowa Chrystusa Pana.

Angielskie naukowe pismo *Century* umieściło w tych czasach artykuł pewnego uczonego, który udowadnia, że Pan Jezus przemawiał nie po grecku, nie po hebrajsku, jak przeważnie sądzą, ale w języku „aramojskim“, który jest odmianą języka syryjskiego.

Język bowiem syryjski był w owych czasach najbardziej rozpowszechniony w całej Mezopotamii, i używany nawet przez rabinów w swoich mowach.

Pismo święte, pisane po grecku, zwłaszcza stary Testament, zawiera wiele zdań i pojedynczych wyrazów, odnoszących się do życia i męki Chrystusa Pana, a będących niezaprzeczenie pochodzenia syryjskiego, jak n. p.: „Ephphata“ (otwórz się), „Talitha cumi“ (powstań córko), oraz wykrzyk: „Eloi, eloi, lama sabbathani!“ Nie są to wyrazy hebrajskie.

Tak samo nie są hebrajskie niektóre imiona napotykane w Piśmie św.

Wyraz „syn“ znaczy po syryjsku „bar“, a ten wyraz „bar“ spotykamy bardzo często w imionach: Bartłomiej, Barnabas, Bar-Jona, Bar-Timeus, podczas gdy po hebrajsku powinnyby brzmieć: Ben-Jona, Ben-Timeus itd.

Wyrazy: „cepha“ (opoka), „Thoma“ (bliźnięta), „Martha“ (gospodyni), „haceldama“ (pole krwi), „Gollgotha“ (plac na czaszcze) są wszystkie pochodzenia syryjskiego.

A więc, tak miarkuje ów uczony angielski, Chrystus Pan przemawiał nie po hebrajsku, ale w języku syryjskim, względnie w aramojskim.

Garbaty Franek.

(Z czeskiego).

Pamiętam dobrze dotąd małego „Garbatego Franka“, skrzypka z przedmieścia. Wszyscy mieszkańcy przedmieścia pamiętają pewnie tę postać dziwaczną.

Rysy twarzy ostre, wymowne, nosek mały, zaczerwieniony, cienki. Usta wyrażały znużenie, niebieskie oczy zdawały się zanosić prośbę błagalną, czy skargę. Pomimo dziwacznego jego wyglądu, dzieci nie naśmiewały się zeń nigdy, bały go się nawet.

Franka męczyła stale astma i kaszel. Gdy wlókł się powoli do swego mieszkanka w górzystym wąwozie, daleko za miastem, stawał co dziesięć minut, lub opierał się o ścianę. Często omijaliśmy go z daleka, aby uniknąć przykrego widoku zmęczonego i kaszlącego garbuska. Zdarzało się, że matka zmuszała mnie, aby zanieść biedakowi grosz; wstrzymywałem wtedy dech i drżącą ręką podawałem go Frankowi. Nawet ze starszych nikt nigdy nie zaczepiał i nie drwił z biedaka.

Ojciec mój zaglądał w owym czasie często „pod koguta“ na szklankę piwa. W piwiarni tej zbierali się przeważnie starzy wojskowi, dawni jego koledzy. Czasami ojciec brał mnie z sobą; wtedy z obwarzankiem w ręku siedziałem cicho w kąciku, przysłuchując się opowiadaniom z dawnych wojen.

Pewnego razu zastaliśmy w piwiarni Franka. Otoczony gromadką podochoconych ludzi, wygrywał na starych skrzypkach wesołe piosenki i polki, które zawsze mnie pobudzały do płaczu. W szynku był zaduch, gwar i hałas.

Nagle kilku najweselszych gości chwyta Franka z krzesłem i stawia go na stole. Wybuch ogólnej wesołości powitał garbuska, który kołysząc się na krześle, nie zapomniał o swoich obowiązkach — pociągnął silnie smyczkiem, wykrzykując z całej siły:

— Hu ha!

Lecz wesoły okrzyk ten podobniejszy był do krzyku boleści... Rozochocony jednak tłum nie odczuwał takiej różnicy.

— Do djabła! — zawołał, śmiejąc się, tragarz Jan — patrzcie no, czy ta mała bieda nie wygląda, jak suchy rogalik za dwa grosze.

Głośnym śmiechem przyjęto dowcip.

Franek grał dalej; znów wykrzyknął, lecz okropny kaszel przerwał mu natychmiast.

— Nic nie pytaj, rznij dalej. Co tam, jedna wdowa więcej, wielkie rzeczy. Ale słuchaj, mały, co tobie do łba strzeliło, żenić się z takim herodem?

— Ha, ja starczę za połowę, ona za półtora, więc myślałem, że będzie dwoje...

— A często dostaniesz lanie?

Gorąco i zaduch wstrzymały krótki oddech Franka. Przerywanym przez kaszel głosem mówił:

— Tak, jak czasem... najgorzej wtedy bywa, kiedy od was, hołoto, nic nie dostanę... Wtedy lepiej się nie pokazy-

wać. W takich razach pukam do drzwi bardzo delikatnie. A gdy się trafi większy zarobek, to walę obcasami we drzwi. A wtedy bal — żona daje schab z kapustą, albo jajecznicę z kiełbasą. Hu, ha!

Chciał pociągnąć smyczkiem, lecz gwałtowny kaszel porwał biedaka tak, że opuścił ręce, skrzypki upadły na ziemię i byłby sam runął za niemi, gdyby go nie pochwyciły silne dłonie Jana tragarza.

— Źle mu się zrobiło, ale bo też to nędza! Panie gospodarzu, dajcie mu kieliszek mocnej!

— Zbierzcie te piszczące graty i posadźcie go nazad na jego miejsce.

— Ale, dajcie mu pokój! No, Franek, zabieraj się do domu. Wal dobrze obcasami we drzwi i wyspij się porządnie... A tu masz na kiełbasę z jajecznicą.

Skulony, wysunął się za drzwi.

W sieni owiał go zimny prąd powietrza; zatrzymał się, stęknął i mruknął:

— Hm, jakoś mnie dzisiaj strasznie ciągnie do domu. Nigdzie już nie wstąpię.

Wyszedł na ulicę. Na dworze szalała śnieżyca, wicher gwiżdżąc i wyjąc roznosił po ulicach tumany śniegu. Przytulony do ściany altany, stał Franek, bojąc się burzy.

— Niema rady — szeptał — pójdę, bo mnie coś strasznie ciągnie do domu. Jakoś się przecie dostanę.

Ruszył z miejsca. Wicher wył z wściekłością, rzucając w twarz śnieżnym tumanem, zapierając oddech w piersi. Biedny garbus nie mógł utrzymać się na nogach i runął na ziemię. Przeszła długa chwila, zanim zdołał się podnieść.

— Muszę, muszę się dostać do domu!

Długo, długo wlókł się i dragał w górę spadzistym wąwozem; przed każdym domem, przy każdem drzewie zatrzymywał się i wypoczywał. Gdy wreszcie wydostał się na górę i stanął przed domem, miał tyle tylko już w członkach władzy, że zaledwie poruszył klamkę u drzwi. W tej chwili jednak poślizgnął się i padł w śnieg bez czucia.

Przeszła chwila ciszy. Po paru minutach drzwi się otworzyły i wysoka, silna kobieta stanęła w progu.

— Na miłość Boską, Franek, co ci się stało?

Podskoczyła szybko i podniosła męża z ziemi, jak małe dziecko.

— Jak się ma Marynka? — wyszeptał kaleka.

— Dobrze, dobrze — odparła i na rękach wniosła go do domu.

— Tylko cicho, cicho, żeby się dziecko nie przestraszyło — szepce znowu Franek.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko posadziła go na krześle przy stole.

— Śpi? — zapytał tłumiąc chwytający go kaszel.

— O, śpi, śpi — odpowiada kobieta drżącym, stłumionym głosem i klęka na ziemi obok siennika.

Słabe światełko lampki pada na nędzne posłanie, na którem spoczywa wątła postać dziesięcioletniej dziewczynki. Czarne, krucze włosy rozrzucone bezładnie, ocieniają wychudłą, wyniszczoną suchotami twarzyczkę.

Sine powieki przysłaniają zapadłe oczy, ręce dziewczątka złożone jak do modlitwy.

— Co z dzieckiem, dla Boga? Tak mnie dzisiaj coś do domu ciągnęło, pędziłem co sił. Biedactwo leży, jak śpiący blady aniołek. No, daj już pokój, matko... Nie płacz... mam pieniądze na lekarstwo...

— Ona... już... już nie potrzebuje!...

I nie mogąc powstrzymać wybuchu, z płaczem rzuciła się na dziecko.

— Umarła! — zerwał się z przeraźliwym krzykiem i spadł z krzesła na ziemię.

Chciał się koniecznie o strasznej prawdzie przekonać. Zerwał się znowu, zachwiał i padł bez zmysłów.

Nazajutrz gromadka dzieci spieszyła wąwozem pod górę. Mówili ludzie, że garbaty Franek leży już na marach. Ze strachem zbliżaliśmy się do domu grajka.

Izdebkę zapełniali ludzie miłosierni i ciekawi. Obok płaczącej rzewnie kobiety stał tragarz Jan. Wzrok utkwił w dwa, leżące obok siebie trupy i patrzył długo, długo...

— Czy nie wygląda, jak suchy rogalik za dwa grosze? — jęknął wreszcie. — Ha, co robić. Wezmę oboje i zaniosę ich razem.

Głos mu zadrżał, odwrócił się i łzy pięścią ocierał.

...To blady aniołek wołał tak swego biednego, zmęczonego ojca, by spoczął obok niego.